ROK I. 15 GRUDNIA 1925 R. ZESZYT 3.

Lektura Wolnych Chwil

DWUTYGODNIK ARTYSTYCZNO-LITERACKI

ABONAMENT:
ROCZNIE . . 10.— ZŁ.
PÓŁROCZNIE 5.— „
KWARTALNIE 2.50 „

Redakcja i Administracja:
Warszawa,
Chmielna № 52. Telefon 73-38.
Konto P. K. O. 12.106
Godz. przyjęć redakc. od 12—1.

OGŁOSZENIA:
CAŁA STRONA 100.—Zł.
1/2 „ 60.— „
1/4 „ 35.— „



Ś.-P. STEFAN ŻEROMSKI

zmarł dnia 20 listopada r. b. w Warszawie



Żeromski przy lekcji z córką.

JULJAN EJSMOND

DUMA O HETMANIE

Wiatr od morza przyleci — zapłacze żałośnie...
Naród przy Jego świętych Popiołach uklęknie...
Nieśmiertelności jego sama śmierć się zlęknie...
dając Mu w grobie Wiosnę, choć umarł w Przedwiośnie...

Wierna rzeka boleści łzami się zaperli...
Echa leśne załkają i zmierzch świat przesłoni...
Róża swe wonne płatki konając uroni —
lecz nie czas róż żałowac po zgonie Katerli..

JAN AUGUSTYNOWICZ

NOSTRA CULPA

(*LILJE NA TRUMNĘ STEFANA ŻEROMSKIEGO*)

Dużo atramentu popłynęło i jeszcze może popłynie na wieść o śmierci Żeromskiego, jak popłynęło i dużo krokodylich, poza szczeremi, łez. Nie o atrament jednak iść może i powinno, o pogrzebową frazeologję, o mniej lub bardziej udatne nekrologi w pismach, o hałas i rumor, wokół szanownego nazwiska i tak bardzo, mimo wszystko, samotnej wśród przeogromnej ludzkiej ciżby trumny wszczęte...

Gdy umierał Żeromski, tydzień ohydnej swawoli i konszachtów partyjnych dowlókł się do swego końca. „Historyczna" gorączkowa noc koronowała cuchnące przelewania z pustego w próżne, wszelkie kombinacje, niechlujne zmagania się, intrygi, zawiści, wzdęte snobizmem prywaty, megalomanję, zaślepienie i potworny, bezwstydny, wzajemny egoizm. Z bajora wstrętnych targów i wodzenia się za łby w obliczu przyglądającej się temu z konieczności i oczekującej z rosnącym gniewem i oburzeniem rozwiązania gorszących, groźnych i obmierzłych moralnie scen szarej masy, narodem zwanej, wyłoniła się wreszcie „zgoda". Utworzono rząd nowy, mający — oby naprawdę — cofnąć kraj z nad przepaści, w którą się nieledwie staczać zaczął. Na tle dotychczasowego bezładzia, korupcji, nepotyzmu, ruiny i wszelakiego sabatu gospodarczo-finansowego zabłysła ta nikła gwiazdeczka, co w zbolałe i przygnębione serce pospólne rzuciła promienie jakiejś nadziei. Ale — prawdziwa, czy kłamna — w to serce, które pamiętnego przedpołudnia bić przestało, rzucić ich już nie zdołała.

Odszedł na wieki od swego kraju i narodu Żeromski z strasznem widmem w gasnących oczach. Zamknęła mu te głębokie, ostre, przenikliwe, gorzkie i surowe, choć i łagodne skrycie oczy polska rzeczywistość. Co czuł, co myślał, nad czem łamał się, poza swą tragedją osobistą, w dniach przed-

zgonnych? On, o którym w nawiązaniu do słów Krasińskiego na wieść o śmierci Mickiewicza można i trzeba z niemałą słusznością powiedzieć, że był także krwią i żółcią swego narodu?

Wyrosły z cienia skromniutkiego nauczania prywatnego, doszedł mocą talentu i ognistej żarliwości do godności nauczyciela narodowego. Posiadłszy tę wielką rangę w znoju ciężkiej nad wyraz pracy i w męce krwawicy najserdeczniejszej, stanął na najdalej w wszelkie niebezpieczeństwo polskie wysuniętej placówce, pełniąc swą straż. Przejmującym wzrokiem zapatrzony w przeszłość, wydzierający jej wszystkie dostępne sobie i przez siebie tak a nie inaczej rozumiane światła i mroki, zawisał tym wzrokiem, jak chciwy jasności jastrząb nad szarym, napojonym blekotem dniem swego plemienia i jak mądra sowa nad piołunową nocą tegoż. Dni, dni... noce, noce... A nad ziemią, na ziemi i w ziemi, w głowie i w sercu jęk i szloch i zew złowrogi...

I co znaczyły dola i niedola własne, z przewagą tej ostatniej, niestety, cierpienia wątłego i schorowanego ciała? Co znaczyło widmo śmierci, tylekroć w oczy okrutnie zaglądające, naigrawające się z gorączkowego życia przez lata mnogie? Ogień w duszy płonął — to wystarczyło. I póki dłoń zdzierżyć mogła — nie wypuszczała pióra pracowitego, kreśląc żywoty serc i mózgów, żywot — w przedziwnej syntezie — jakby Polski całej poprzez pokolenia aż do dnia najostatniejszego.

Stefan Żeromski — to przecie nie literat tylko, nie artysta wyłącznie, kunszt miły uprawiający, nie retor z rozległego podwórka piśmiennictwa, to ktoś inny. On, wielki mistrz słowa, co wszystką swą moc i wszystką swą słabość w słowo właśnie zaklął, on, wirtuoz przebogatej, na swój sposób odrodzonej przez niego i rozwiniętej polszczyzny, poeta ludzi i przyrody, piewca i osądziciel życia, rycerz sztuki, ma to znaczenie nadewszystko, że, z piękna wyrósłszy i w piękno coraz idąc, w barwną sztuki maestrję, był wcielonym krzykiem, był sercem.

W golgotowym darze swego przeznaczenia niezwykle groźną i potężną broń otrzymał: przeogromny talent. Ileż serc wrażliwych i gorących szarpie się w okrutnej niemocy wydobycia powiedzenia swego? Nie kwilenia, nie bełkotu lecz powiedzenia? Ten król słowa nie miał, bo nie mógł mieć, potrzeby takiego szarpania się. Podobni mu przychodzą na świat rzadko zresztą.

Szarpał się czem innem. Przy szukaniu najdoskonalszej formy dla ujawnianej treści szarpał się tą treścią aż do zapamiętywania się. Jak cwałujący po objętym ogniem stepie rumak,

rwały wciąż naprzód ból i zgroza z rozwianą grzywą wstrząsu a nawet ukrytego półszaleństwa niekiedy, z rozdętemi chrapami szyderstwa i ironji, z ciskającemi błyskawice wyznania oczami. A step płonął... płonął „konsekwentnie". Gdzieś majaczyły góry, jak turmy przeklęte, gdzieindziej zaś — morze, jak łez morze O rozpadliny wątpienia i wyrwy rozpaczy potykał się rumak na krótko, by, tratując burzany wszelkich wstrętów i osty wrogiej mu „życzliwości", pędzić dalej ku nieznanemu, choć tak wiadomemu, celowi.

Ból i zgroza... Jest rzeczą dla duszy Żeromskiego, dla jego pasji i zawołania rycerskiego charakterystyczną, że wszystko, co z siebie narodowi swemu dał, tchnie bólem takim i zgrozą. Czy mogło być inaczej? „Urodzony w niewoli, okuty w powiciu"... Nie, to jedno nie wystarczyłoby. Był niezmiernie inteligentny i niezmiernie krytyczny przedewszystkiem, niezmiernie czujny i wrażliwy, bardzo rozumny, wewnętrznie niesłychanie niezależny, twórczy w najgłębszem pojęciu tego słowa, śmiały, bujny. Nie miał w sobie, artyście, narodowcu i społeczniku, filistra, nie miał — takiego lub owakiego — niewolnika, nie miał snoba i kabotyna. Z ostrym skalpelem s w o i c h rozumień i odczuwań, z skalpelem orlej niezależnej namiętności s w o j e j prawdy brał się do wiwisekcji przeszłości i teraźniejszości, wybiegając myślą w przyszłość. Los sprawił, że się urodził polakiem i pogrobowcem wszystkich zbrodni, nieszczęść i cierpień polskich, ale on był przedewszystkiem człowiekiem. W polskim czyśćcu i piekle stał się tylko podwójnie smutny i tragiczny, a to, co mu w duszy śpiewało, nie mogło być właściwie całkiem z tego świata, albo, o ile być mogło, to w nieodgadnionym czasie kiedyś, kiedyś dopiero.

Na swój, odmienny od filisterskiego, sposób trzeźwy i praktyczny, ziemski, nie metafizyczny, nie irracjonalny, nie anarchistyczny (w rozumieniu, naturalnie, anarchizmu idealistycznego, indywidualistycznego, nie komunistycznego), nie bujający po obłokach, nie sięgający dłonią po gwiazdy, nie przenoszący punktu ciężkości w zaświat, nie trawiony gorączką raju i nieba, namiętnie miłujący świat i życie, nieobcy dyonizyjskiemu ich odczuwaniu, tak daleki pod wieloma względami (nie pod wszystkimi) od Chrystusa i Buddhy i tak daleki — w najrzeczywistszej ich i najgłębszej istocie — od wyjawicieli drugiej strony ducha helleńskiego, Pitagorasa, Sokratesa i Platona, burzył się przecie ciągle przeciw światu i życiu, porywał je, jak wściekłe psy, za gardło, plując im krwią bolesną w ślepia. Straszliwe upragnienie innego, ale niekoniecznie w stylu nietscheańskim, człowieka, innego świata i życia, na tym padole jednak, sprawiało mu katusze niewysłowione.

Całą siłą mózgu, duszy i serca zgłaszał sprzeciw ten nietyle duch-wieczny rewolucjonista ile żywy ziemski człowiek-rewolucjonista, choć daleki od ramek szablonowej, uznanej czy nieuznanej, lecz po tysiąckroć na przestrzeni stuleci aż do doby najwspółcześniejszej tak lub owak ostemplowanej rewolucyjności, chełpiącej się etykietami naukowo-społecznemi oraz wszelkiem doświadczeniem, jak i obliczonemi i odważonemi na przyszłość metodami. „Homo sum"... — zmartwychwstawał w nim wiekopomny Terencjusz, a słodki Chrystus tem, czem był dla niego upragniony i dostępny, wzbogacał owo jego wyznanie.

Był autorem „Ludzi bezdomnych". Bez domu duchowego i moralnego, intelektualnego i sercowego, poza tym domem w własnem tylko marzeniu, ocknął się, jako człowiek publiczny — artysta i działacz, — na umiłowanym i gardzonym przez siebie świecie, w ukochanej przez siebie a tak gorzkiej ojczyźnie. W posępnej swej samotności, jak w olbrzymim kościele, słaniał się swym duchem u wszystkich ołtarzy, na których gorliwie światła zapalał — ten niezmordowany bytu ludzkiego i narodowego zakrystjan, aby pełniono ofiarę. Zimnem i obojętnością owiewał go ów kościół i próżno wytężone dojmująco oczy upatrywały mających stawać do apelu rzesz. Milczały na kirnym chórze organy serca pospólnego i nie wznosił się śpiew, a gdy zabrzmiał wreszcie radosnem i jakoby potężnem „Allelujah" — wzdrygnął się tragiczny zakrystjan.

„Samotność... Cóż po ludziach? Czym śpiewak dla ludzi?..." — wspominają się mimowoli t a m t e słowa.

Zachodzi niewątpliwe pokrewieństwo między męką jego i Mickiewicza, jak zresztą męką wszystkich wielkich i największych w narodzie i w ludzkości. Wspólnym ich pionem, zasadą najistotniejszą jest prometeizm, wyrośnięcie ponad wszelki poziom, gorący bunt i bezmierna tęsknota, przez co są właśnie, poza skarbem talentu, wielcy i najwięksi. Obcy swej skorupie zewnętrznej, obcy — tak lub inaczej — otaczającym ich ludziom, walczący ciągle z nimi na serca i rozumy, pełni pogardy dla stwierdzanej rzeczywistości i wstrętu do niej, poczuwając się jednak do przynależenia do ludzi, pragną wydrzeć Sile Niewiadomej czy wybłagać u Niej ogień wiedzy i możności należytej nietylko dla siebie lecz i dla tych ludzi. Przepiękny, groźny — w różnych odmianach — mit, przepiękna, groźna — sprzeczna z istniejącą — rzeczywistość. I, choć mijają rasy, narody, religje, kultury i cywilizacje, żyje Prometeusz i żyć będzie ciągle i ciągle ma swój Elbrus, swe łańcuchy, swego sępa, swe katusze.

Jeśli o polski specjalnie prometeizm idzie — wyrasta w nim Żeromski jakby bezpośrednio z Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Norwida i ich pogrobowca, Wyspiańskiego, a z każdego inaczej, naturalnie, z innej jego płaszczyzny. Byłże w jego kościele Bóg istotnie — i jaki? Szamotał się w Żeromskim sam z sobą tak bardzo Konrad, a jakiż wpływ na to szamotanie się miały serce i dusza księdza Piotra? Szamotał się w nim Kordjan, ale czemś obcem i nierealnem zdało się przedśmiertne, po głębokiem ostatnich lat pobytu wśród żywych skupieniu się, pożądanie Słowackiego: „Aż was, zjadaczów chleba, w aniołów przemieni". Szamotał się w nim też przeogromnie Wyspiański, ponure zaś „Wesele" tegoż z Chochołem, zgubionym rogiem (nietyle chłopskim ile polskim wogóle), sznurem i tańczącą szopką polską paliło go chyba najbardziej, gdy wzrokiem namiętnie szukał „wyzwolenia".

Romantyzm zatem? W dalszym ciągu — w ten czy inny sposób — romantyzm jednak? Na co wszelkie formułki i legitymacje? Zwłaszcza w tak „trzeźwej" epoce? (popowstaniowej—pozytywistycznej, wojennej — bardzo pozytywistycznej i powojennej — ultra pozytywistycznej?) Jeśli romantyzmem było, jest i ma być prawdziwe drganie duszy, ból serca i znojny bunt czy trud mózgu — to romantyzm. Czy to tak ważne, że snoby lub lekkomyślni tego się przestraszą, albo to wyśmieją lub oplwają?

Siłaczka, Judym, Żółkiewski... — że te tylko postaci z galerji tak mnogiej się wymieni, upoetyzowane i wyolbrzymione przez żałość, ból, poryw, tęsknotę i wołanie pisarza, co z nicości dotykalnej rzeczywistości ku bytowi rzeczywistości niedotykalnej je wywiódł. W nich, poza innemi, zamknął się przedziwnie on sam, podniesiony przez siebie w mocy i dostojeństwie, w wartości i głębokości swego przeznaczenia. A wszystkie tak ogromnie samotne, niczem samotna słynna sosna z „Ludzi bezdomnych" — prosty i uroczysty symbol duszy niezwykłej. Siłaczka! To jedno słowo, w zestawieniu prężności wewnętrznej z nikłemi siłami zewnętrznemi, starczy za tyle. „Ty dobry lekarzu dusz"... — chciałoby się o zmarłym słowa przez Joasię do Judyma wypowiedziane powtórzyć. „Jam jest jeden w ojczyźnie"... (lecz jaki i w czem?) — powstaje w nim, Żeromskim, tragiczna spowiedź Żółkiewskiego...

Gdy go chowano, tysiąc i jeden względów ziemskich i życiowych sprawiło, że miał pogrzeb „królewski". Wszystko urzędowe i nieurzędowe wysiliło się w tym kierunku i dano sobie wzajemnie to przesmutne wspaniałe widowisko. Ma się rozumieć, z punktu widzenia przyziemnego właśnie, tak bardzo „naturalnego", było to w porządku rzeczy. W wolnej nie-

podległej Polsce—któż, jak nie on przedewszystkiem, posiadł prawo do takiego pogrzebu? Ale mógł mieć przecie pogrzeb jeszcze wspanialszy i bardziej przejmujący, w zgodzie lepszej z majestatem swej duszy i tragicznym majestatem swej samotności, pogrzeb prawdziwiej królewski. Prosty jednokonny karawan, przed karawanem jakiś nędzarz o zbożnem bezinteresownem sercu z krzyżem w dłoniach, na karawanie z niebejcowanych nawet żywicznych sosnowych tarcic trumna z jedynym wieńcem z ciernia, głogu i jałowca, za karawanem wdowa z córeczką i, poza najbliższymi krewnymi i istotnymi przyjaciółmi, garść — gdyby się tak stać mogło — tych, co, nie wołani i nie zwabieni przez różne względy lub przez przepych żałobnego obrzędu, z serca najgłębszego i z wdzięczności za ową trumną by podążyli.

Nie, nie frazes to i nie chęć „świętokradczenia". Gdyby ożył na chwilę w swej trumnie i mógł przez jej wieko taki swój pogrzeb zobaczyć — nie zdziwiłby się z pewnością. Trumna—symbolicznie—byłaby z tej rozdartej sosny z „Ludzi bezdomnych" właśnie.

. . . .

Jedno z pism doniosło przed niedawnym czasem, że gdy w zeszłym roku rozważano kandydatury literackie do nagrody Nobla, został Żeromski wzięty w poważną rachubę. Padł jednak, jako ewentualny laureat, z powodu, w myśl orzeczenia, „zbyt nacjonalistycznej" nuty swej twórczości. Nagrodę, jak powszechnie wiadomo, otrzymał inny niebylejakiej miary pisarz polski, Wł. St. Reymont.

„Zbyt nacjonalistycznej"... Nie można i nie trzeba posądzać obcych i dalekich sędziów o lekkomyślność czy złą wolę lub zasadniczą nieprzychylność dla Polski. Temu ostatniemu przeczy wymownie wyróżnienie polaka Reymonta. Orzekli oni wedle odczucia i rozumienia swego. Ale dalecy i obcy sędziowie nie są synami narodu, co, rozszarpany, jęczał sto kilkadziesiąt lat w potrójnej niewoli, dźwigając przytem na sobie brzemię wyrzutu za grzech przyczynienia się do własnej zguby. Nie mogli i nie umieli dalecy i obcy sędziowie uprzytomnić sobie należycie rodzaju i ogromu tej tragedji, bo serca ich, niepolaków, nie krwawiły polskiemi łzami i piołunem polskim. Wzięli to zbyt akademicko, ogólnoludzko, schematycznie, przeoczywszy dramatyczne źródło takiego przesiąkłego bólem, krzykiem i rozpaczą „nacjonalizmu".

Choć cudzoziemskie słowo „nacjonalista" odpowiada ściśle zewnętrznie polskiemu „narodowiec", nie jest ono jednak, o dziwo, a może i nie dziwo, wewnętrznie jego jednoznacz-

nikiem. Czujemy i rozumiemy to wszyscy, lub prawie wszyscy. „Nacjonalista“ — to szowinista, ślepy i zarozumiały krzykacz i warchoł swego narodu, brutalny, bezwzględny, zachłanny, niesprawiedliwy i niemądry narodu swego samolub. Każdy naród ma swych nacjonalistów. Żeromski nie był nigdy, nie mógł, oraz nie chciał być nietylko „zbyt nacjonalistą“ lecz nacjonalistą poprostu, bo nie mógł i nie chciał zaprzeczyć temu sercu i tej duszy, które na świat przyniósł. Ale był narodowcem, a dla dalekich i obcych sędziów „zbyt narodowcem“ jedynie, gdyby to odczuć i zrozumieć mogli. O, tak.

Wszystko wszak prawie, co napisał, a napisał tyle z Polski żywot wiodło, przez Polskę, dla Polski. Nawet wówczas, gdy naród odzyskał niepodległość. Nie dopełniły się bowiem dni i nie mógł jeszcze pisarz polski, choćby jako człowiek, artysta i filozof pragnął tego serdecznie i miał do tego najświętsze zasadnicze prawo i najświętszy zasadniczy tego obowiązek, a zwłaszcza nie mógł jeszcze pisarz jego typu, o ludzkiej poprostu twórczości wyłącznie czy prawie wyłącznie pomyśleć.

Nie spostrzegli jednak dalecy i obcy sędziowie, ile nawet w tej rzekomo „nacjonalistycznej“ i, w dodatku, „zbyt nacjonalistycznej“ twórczości Żeromskiego ujawniło się z zagadnienia człowieka, z owego, już wspomnianego, terencjuszowskiego „homo sum“. Nie spostrzegli...

Tak niespodziewanie w sposób jakoby ujemny, niezależnie od artyzmu i psychologicznej głębi swej twórczości, uwieńczonego dla Polski przez obcy aeropag polaka musi Polska, zważywszy na przedniepodległościowe i obecne niepodległościowe, bardzo jeszcze pod wieloma względami ponure warunki podwójnie sobie cenić. A zmarł on w sile twórczości, pragnąc i mogąc dać narodowi więcej. Posiadł to nieczęste szczęście, że nie zgasł, jako twórca, już za życia i. gdy pełen melancholji żal musi, jak rzewny bluszcz, owinąć się wokół strzaskanej przez los jego lutni, tęsknota za tem, coby dać jeszcze potrafił, mająca, niby anioł żałoby, stróżować jego mogiłę, niechaj krzyczy powszechnej duszy polskiej i o tem, o czem on już krzyczeć wielkim swym i serdecznym głosem nie zdoła, a czego dusza ta, w głąb własną zstąpiwszy, w biczowaniu się niekłamnem, w srogim rachunku sumienia domyśleć się winna.

. . . .

Jego miłość bliźniego i przywiązanie do ojczyzny, te dwie dźwignie jego życia, znalazły, poza całą pracą narodowo-społeczną, dobitny, ostatni już w ziemskiej wędrówce,

wyraz w dwu bardzo mu drogich rzeczach: w „Latarni“ i w „Akademji literackiej“. Pamiętamy jeszcze chyba wszyscy gorącą jego do społeczeństwa w sprawie ociemniałych na wojnie żołnierzy odezwę. Światło wewnętrzne i ciepło serc, prócz pomocy materjalnej, dajcie tym ludziom nieszczęsnym— taka była treść owej odezwy. Światła, światła jaknajwięcej dajcie, choć oczy na zawsze oślepły!

Jeśli o ojczyznę idzie, rozumiał zbyt dobrze, że ona, w najwyższej swej kwintesencji, w tem tworzywie i zarazem spoidle, któremu mowa rodzinna i ubrane w jej szaty płody ducha polskiego na imię, zawiera się. Jego to projekt właśnie—ta Akademja literacka, ukochane pragniena jego i marzenia dziecię, koło którego tak zabiegał w ositatnich latach swego życia i którego nie dane mu było realnie zobaczyć. Ale to się stać, choćby po jego śmierci, musi i powinno, to się stanie.

Męcząc się niezmiernie rzeczywistością polską, daleką od tego, czego serce i umysł pragnęły, szukał, jak niejeden, a specjalnie niepodległością ojczyzny olśniony, wyjścia z ciemni zmartwychwstańczej ku światłu naprawdę zmartwychwstańczemu. Los sprawił, że ostatniem dziełem jego stało się „Przedwiośnie”. Nie lekkomyślnie dał książce ów tytuł. Młotem, walącym w twarde i gnuśne czerepy miała być ona, smagającym czerstwe, w sobkostwie i warcholstwie zaskrzepłe sumienia biczem Przypieczętował ją jakby krwią własną, męką wielomiesięcznego konania i tragedją śmierci. Woła on z niej teraz podwójnie i potrójnie: strzeżcie się i opamiętajcie się! I żąda, postokroć żąda, by nic z jego krwi, męki i śmierci nie zostało uronione.

Gdy na posiedzeniu w senacie, już po zgonie Żeromskiego, mąż trzeźwy i praktyczny, nie poeta, nie pisarz, człowiek polityki, mężem stanu zwany, premjer Al. Skrzyński, wygłaszał w swem „exposé“ pewne znamienne słowa, — nie byłyż one jakby nawiązaniem do przedśmiertnego wołania tamtego człowieka —bądź co bądź, jak chcą zupełnie „trzeźwi“— człowieka „z literatury“? A co mówił ów mąż stanu?

„Nie wierzę, aby ciężkie położenie dało się zmienić jakimś zwrotem, cudownym wynalazkiem. Nie wierzę w cuda ludzi opatrznościowych, *wierzę tylko w cud zgody i współpracy, natężenie wszystkich sił wobec grozy i powagi sytuacji*“.

Cud zgody i współpracy, natężenie wszystkich sił... Koalicja nie przelotna i nie rzekoma... A z głuchej i samotnej mogiły Żeromskiego bije w potędze wzmożonej głos na *cały* naród: dla ciebie Polsko, dla ciebie!

Nie o ckliwe, słodyczkowe frazesy, o uprzejme towarzyskie wzajemne cmoktanie się, o toastowe „kochajmy się, nie dajmy się“ chodziło zawsze, po odzyskaniu niepodległości

przez kraj szczególnie, Żeromskiemu. To nie był człowiek frazesu, to był człowiek swoistego, choć pisanego, czynu.

Jego trumna — to symbol. Jego trumna — to pewnego rodzaju arka przymierza między dawnemi i nowemi laty. Jego trumna — to przypomnienie i nakaz dla lat przyszłych.

U tej trumny myślą, sercem i duszą skupieni, musimy otworzyć na ścieżaj wrota *innemu* swemu pospólnemu życiu. Ta trumna ma prawo przestać być samotna, jak samotny publicznie był zawsze ów, którego kryje szczątki. Na tej trumnie winniśmy złożyć białe lilje nietylko swych chęci najserdeczniejszych, ale i najserdeczniejszych, najszczerszych, najbardziej i istotnie owocnych swych czynów. I wobec tej trumny musimy, w żałobę głęboką ale *twórczą* spowici, bijąc się nieobłudnie w piersi, wydrzeć z siebie ten na kraj cały idący, a owemu innemu, nowemu życiu byt właśnie dający krzyk przeogromny i uczciwie mężny: Nostra culpa, nostra maxima culpa!

STEFAN ŻEROMSKI

Fragment z noweli „Echa leśne"

...Szczukin siadł.

Głosowanie. Dwa głosy padło za karą natychmiastową,— Szczukina i von Tauwettera, dwa za odesłaniem pod konwojem do Kielc. Mnie tedy przyszło przechylić szalę. No, i przechyliłem... — mówił cicho, kiwając głową. — Mieli wyprowadzić. Jewsiejenko wniósł, że może ostatnie ma życzenie. Dałem głos. Spojrzał tedy na mnie temi pieczarami oczu, wlepił je we mnie. Staliśmy wszyscy za stołem. On podszedł blisko. Patrzy mi w oczy, ja w jego. Jakby dwie lufy pistoletowe przystawił... Pamiętam surowe słowa: Rozkazuję przed śmiercią, i to jest moja niewzruszona, ostatnia wola, żeby mój mały, sześcioletni syn Piotr był wychowany jako Polak, taki sam, jak ja. Rozkazuję, żeby go uczyć, choćby to było przeciwne sumieniu wychowawcy, jak jego ojciec zrobił wszystko, aż do samego końca. Rozkazuję mu głosem głuchym, żeby pracował dla swej ojczyzny i żeby, jeśli zajdzie potrzeba, umierał dla niej bez jednego drgnienia strachu, bez jednego westchnienia żalu, taksamo, jak ja. No, i wszystko.

Oddał nam cześć po wojskowemu.

Wyprowadzili.

Zaczął się budzić dzień. Poszedłem do alkierza, gdziem tej nocy miał spać. Otwarłem okno. Brzask dnia już się zaczynał. Ranek... Po drugiej stronie drogi sześciu żołnierzy

szybko wybierało łopatami dół w piasku. Odszedłem w głąb izby. Odwróciłem się twarzą do ściany. Boże mój!... Było już jasno, kiedym wrócił do okna. Mogłem już widzieć spokojnie. Na kupie piasku, pod strażą dwunastu żołnierzy z karabinami u nogi, bokiem do mnie zwrócony siedział spokojnie. Zdjęto mu już kurtkę powstańczą. Był w koszuli i tę koszulę miał rozerwaną na piersiach. W rękach ściśniętych trzymał między kolanami fotografijkę syna Piotrusia. Głowa zwieszona, włosy spadły na czoło, oczy w tej fotografji utopione.

Zaszedł pluton żołnierzy, należący do jego własnej roty, z za węgła karczmy. Stanął ten pluton naprzeciwko. Von Tauwetter prowadził. Żołnierze — broń u nogi. Stoją. Minęła chwila, druga, trzecia... Czekam. Czekam, żeby Tauwetter dał komendę. Nic, cisza. Nic, cisza. Nie może dać komendy. Tamten siedział wciąż z oczami w swoim obrazku. Miałem złudzenie, że może już, tak siedząc, umarł. Przez chwilę miałem tę ulgę. Czekam. Aż oto podniósł głowę, jak ciężar tysiącpudowy. Stanął na kupie piasku. Nogi mu się zarobiły w sypkiej ziemi więc się poprawił raz i drugi. Obejrzał się poza siebie, odgarnął włosy z czoła i spojrzał w żołnierzy. No, chwała Bogu, wróciło nań to wykrzywienie twarzy, ta pogarda, co ją miał w sobie na sądzie. Widziałem jak powoli obejmowała mu twarz, oczy, czoło. Byłem szczęśliwy, że to tak, że tak właśnie, z dumą... Że Rozłucki... Czułem jak wielką swoją wolą zmieniał się w nieczułego trupa, jak się przeistoczył w coś innego...

Fragment z powieści „Przedwiośnie“

...Polsce trzeba na gwałt wielkiej idei! Niech to będzie reforma rolna, stworzenie nowych przemysłów, jakikolwiek czyn wielki, którym ludzie mogliby oddychać, jak powietrzem. Tu jest zaduch. Byt tego wielkiego państwa, tej złotej ojczyzny, tego świętego słowa, za które umierali męczennicy, byt Polski — za ideję! Waszą ideją jest stare hasło niedołęgów, którzy Polskę przełajdaczyli: „jakoś to będzie“!...



Ś. P. Władysław Stanisław Reymont

Zmarł dnia 5 grudnia r. b. w Warszawie

WACŁAW ROGOWICZ

PIEWCA ZIEMI I PRACY

(*WŁADYSŁAW REYMONT*)

W odstępie dwóch zaledwie tygodni zgasły nagle, jedna po drugiej, dwie, najjaśniej świecące na firmamencie literatury polskiej gwiazdy: odeszli w zaświaty Żeromski i Reymont — przestało bić serce, najczujniej wsłuchane w sumienie swego narodu, i serce, najżywiej odczuwające panteistyczny związek swego ludu z ziemią — rodzicielką.

Gdy twórca „Popiołów“, „Dumy o hetmanie“ i „Przedwiośnia“ nie ustawał aż do śmierci w trwożnem, zaciekłem szukaniu prawdy o przemianach duszy polskiej — twórca „Chłopów“ był szczęśliwszy: wszystkie siły swego talentu skupił on w istocie na jednem zadaniu, na stworzeniu epopei ziemi, jako żywiołu swej rasy, pokazanej w jej najżywotniejszych, najmniej dotkniętych obcymi wpływami przedstawicielach, w ludzie wiejskim. Uczynił to po mistrzowsku, w sposób, niewidziany dotąd ani w literaturze polskiej, ani w żadnej innej, i dlatego arcydzieło Reymontowskie zachwyciło swoich, a w podziw wprawiło obcych, mówiąc im więcej o duszy ludu polskiego, niż mogłyby to uczynić najsumienniejsze prace uczonych; o duszy ludu polskiego i o duszy polskiej ziemi, tej właściwej bohaterce „Chłopów“.

Reymont, urodzony pod strzechą, we krwi już miał klucz do porozumiewania się z ziemią ojców jej tajnym językiem, którym inni pisarze, w kulturalnem otoczeniu i w innych tradycjach wzrastający, równie biegle i niezawodnie władać nie mogli. Dlatego też, mimo fenomenalnego daru spostrzegania i plastyki w opisach, ani na tle środowiska miejskiego („Ziemia obiecana“), ani tembardziej w dziedzinie powieści historycznej (trylogja „Rok 1794“) wypowiedzieć się całkowicie nie mógł. Wielki dech epicki chwycić mógł w pierś ten genjalny syn chłopski i dotrzymać go w sobie do końca tylko w tem dziele, które stało się koroną jego twórczości, w „Chłopach“. Przyszłe pokolenia mogą zapomnieć o innych książkach Reymonta — ta jedna zapewnia mu nieśmiertelne imię

w literaturze. Jak dalece „Chłopi“ byli rdzeniem twórczego żywota tego pisarza, świadczy fakt niewątpliwy, że z pomniejszych jego utworów najcenniejsze są nowele chłopskie, czy wcześniejsze, czy też późniejsze od epopei — dębczaki dokoła potężnego dębu, z tej samej gleby wyrosłe.

Jakże zawodna i nic w istocie nie mówiąca jest klasyfikacja pisarzy, póki nie wypowiedzą swego szczytowego słowa, nie ogłoszą swego duchowego manifestu. Pamiętam dobrze, gdy po ukazaniu się „Fermentów“, „Komedjantki“ i „Ziemi obiecanej“ charakteryzowano autora tych powieści, jako krańcowego realistę, bodaj naturalistę ze szkoły Zoli i sądzono, że w tem zamyka się Reymont bez reszty. A właśnie ta reszta, w chwili ostatecznego rozkwitu, zadecydowała o wartości artystycznej i uroku jego kapitalnego dzieła. Mówię tu o poezji żywiołu, która realizmowi „Chłopów“ dała ów wspaniały rozmach epicki i miejscami owiała ten otwór jakimś specyficznie polskim, zdrowym i dostojnym, potężnym w swej prostocie mistycyzmem. Trzeba być całkiem wypranym z polskości, by módz czytać bez zbożnego wzruszenia obrzędową *przedśmiertną siewbę Boryny?* Ten starzec, gospodarz z dziada pradziada, przestaje być w owej uroczystej chwili członkiem *gromady*, która tak mocno skuwa sobą zawsze *człowieka* u Reymonta; wyrasta na symbol, na jakieś lechickie bóstwo w momencie, gdy oto ma być już *oderwany od gromady* i odejść przed tron boski zdać sprawę ze swego ziemskiego żywota. Czem się legitymować będzie Maciej Boryna przed klucznikiem niebieskim?... Grzeszyłem, i ciężko nieraz, alem się trudził i znoił aż do ostatniego tchu, pracą się porałem na tej świętej ziemi, aż do skonania. Cudowna, niezapomniana scena śmierci Boryny w polu jest objawem najczystszego natchnienia poety! Żaden naturalista nie zdobyłby się na coś równie potężnego i dostojnego w swej prostocie.

Ludzie, głusi na najwyższą wartość literatury, na poezję, zarzucali twórcy „Chłopów“ (gdy się dwa takie upośledzone indywidua zeszły przy „pół czarnej“), że chłopi Reymonta to nie są *prawdziwi* chłopi. Czy raz jeszcze trzeba powtarzać zakutym głowom, że w dziele sztuki idzie o *prawdę artystyczną*, nie o fotograficzną wierność! Zarzut taki jest tem głupszy w stosunku do dzieła, gdzie niema ani malowanek, ani, za grosz, tendencji, gdzie chłop stanowi integralną część ziemi, jest w wyrazie swym wyrazem samej natury, która go wydała. Żyje według jej praw, w kosmicznem z nią zespoleniu, mimo walki, jaką z nią toczy, w imię nakazów życia człowieczego. Etapami tej walki, niezmiennemi, jak porządek pór roku, jest jego ustawiczna praca na roli. I to nieustanne zmaganie się z przyrodą, która, poza regularnym trybem swym kolejnych przemian, ma swe niespodziane złe wybuchy, burze, grady.

powodzie, posuchy — jak ma swe wybuchy i pierwotna natura chłopska — ten nakaz nieustępliwości w łamaniu przeszkód jest odbiciem stosunku Reymonta, jako pisarza, do samej zagadki życia. „Kto nie walczy — nie żyje" zdaje się mówić, „ale kto żyje, winien przyświadczać życiu we wszystkiem, co ono niesie, w dobrem, czy w złem."

Z tego płynie ów nienarzucający się, spokojny, lecz jakże mocny optymizm Reymonta. Rozpacz, beznadziejność — to uczucia, obce jego psychice. Nawet gdy maluje męczeństwa za wiarę i ojczyznę ziemi Chełmskiej, czy ponure momenty dziejowe Polski w epoce Sejmu Grodzieńskiego, ten arcyrasowy Polak, wbrew Dantejskiemu *Lasciate ogni speranza* woła: *Nil desperandum*! — nie upadajcie duchem, nie traćcie nadziei, bo niedola obróci się na lepsze — byle wytrwać, byle nie utracić hartu ducha. Trzymajta się ludzie, w kupie — że użyję stylu „Chłopów".

Takie hasła z wiarą w ich żywotność i ziszczalność mógł głosić tylko pisarz, nie zostawiający człowieka na pastwę osamotnienia, wiążący ludzi w gromadę, by łatwiej pospólny trud nieść. Gromada jest regulatorem życia bohaterów epopei chłopskiej Reymonta w momentach dramatycznych (wyświęcenie ze wsi Jagny, gdy namiętność jej wdarła się w miejsce, w moralności gromadzkiej „exterytorjalne" dla panowania zmysłów, w obręb dobra Kościoła). Nie znaczy to bynajmniej by ucierpiał na tem rysunek indywidualności postaci: różnorodność ich cech, przeciwnie, wydobył ten świetny plastyk i kolorysta z siłą i wyrazistością niezwykłą. A tych postaci mamy przecie w „Chłopach" cały tłum.

Jako stylista, malarzem przedewszystkiem był Reymont, wzrokowa pamięć wizji fenomenalna dawała mu przebogate tworzywo do obrazów, malowanych językiem krzepkim, jędrnym, zmysłowym a dosadnym, *z umiarem* artystycznym posługującym się gwarą ludową. Z tej zalety formalnej „Chłopów" wielu czytelników nie zdaje sobie z pewnością sprawy w stopniu należy tym; trud przedzierania sie do treści przez gwarę „Skalnego Podhala" lub utworów Zegadłowicza ujawnia dopiero, jak trafną wybrał drogę Reymont do wrażliwości szerokich kół czytelników.

Inną zaletą formy Reymontowskiej epopei, podyktowaną przez instynkt rasowego pisarza, jest, mimo rozpętania, gdy tego wymagała akcja, namiętności w duszach bohaterów, zachowanie epickiego spokoju w całokształcie dzieła, zbudowanego z imponującą harmonją części, podzielonego — wedle porządku w przyrodzie — na tyleż ksiąg, ile pór roku składa się na całość powszedniego bytu chłopa, powtarzającą się od wieków z nowym obrotem słońca dokoła ziemi.

Ten wielki pisarz po różnych ciężkich kolejach życia

w młodości umocnił się w świadomości swego powołania. Lecz z tą chwilą, wierny swemu nakazowi moralnemu przezwyciężenia przeszkód trudem zaciekłym a nieustępliwym, rozwijał swój zdumiewający samorodny talent krok za krokiem, aż wreszcie wystrzelił mu on ponad wszystkie inne dzieła, niby wieża ponad domami, z której ogarnął mocą umiłowania ziemię rodzoną i piórem mistrza w niespożytem pięknie słowa wieczysty monument jej wystawił.

Chwała Mu za to i cześć!

— —

JADWIGA DOMAŃSKA

ZE WSPOMNIEŃ

O Ś. P. WŁ. ST. REYMONCIE

Ze ś. p. Reymontem zetknęłam się po raz pierwszy, gdy On pochylając się nad trumną ś. p. Ochorowicza, — z głębokim żalem wypowiedział te słowa:... I któż zostanie, jeśli tacy odchodzą?!... W skromności, właściwej genjalnym duchom, nie pomyślał wtedy o sobie. Potem już widywałam go częściej, a z chwil tych pozostało dziwnie miłe wspomnienie. Ogromna tężyzna bijąca od ś. p Reymonta, rozmach, fantazja, zaś nadewszystko prostota, która Go cechowała oto były przyczyny dla których każdy kto z Nim obcował, czuł dosłownie, że mu się robi jaśniej na duszy. Przyczyny właściwie leżały głębiej. Reymont hojną dłonią rozsiewał ziarna swej genjalnej duszy, każdemu potrosze dał coś z siebie. Mógł tylko brać każdy co się zbliżał do Niego, On jako Mocarz mógł interes dawać...

Żywo przejęty i zainteresowany kwestją bytu pozagrobowego w rozmowach ze mną niejednokrotnie dawał wyraz swoim poglądom tak na śmierć samą jak istnienie zaziemskie. I snuły się te rozmowy jak sam określił: Niby pacieże szeptane na różańcu Jagaty „dziadówki" („Chłopi"). Czasem w te pacierze wplatało się słowo dosadne, jakieś pełne tężyzny powiedzenie, właściwe wielkiemu pisarzowi, poparte mocnem podgarnięciem czupryny do góry. To znów epitet krótki a dowcipny, w którym jak świetny błysk migotała streszczona myśl.

Jak chlaśnięcie biczem padało słowo zadzierżyste i pełne fantazji. A ze wszystkiego zaś co mówił promieniowało wielkie umiłowanie ziemi z ktorej wyszedł. Był tak z nią zwarty i jednolity iż zdawać się mogło że tętna. Jego uderzają w rytm tętna przyrody. I umiłowaniu temu pozostał wiernym do śmierci a jeśli wierzyć można że gorące uczucia mogą zwyciężyć śmierć samą i trwać dalej, to w myśl tego co

mówił kiedyś do mnie i do Habdanka pozostał wiernym ziemi aż po za grób: „Ja gdybym mógł chodzić po śmierci— mówił wówczas, to bym się włóczył po polach, po miedzach, pod garbatemi wierzbami. Bo ziemia jest dobra mać i choć cię w niej człecze zagrzebią, to cię jeszcze i tak na twoje święto puści"...

Z zapałem opowiadał o chwili jaką przeżył, gdy pisząc „Chłopów", doszedł do opisu wesela Jagny i śmierci Boryny. „Razem z Boryną tańcowałem na jego weselu i razem z nim umierałem—mówił—a takiej chwili wiem że już raz drugi nie przeżyję" .Przypominam sobie jeszcze jakiś zawiany śniegiem wieczór w Zakopanem w klubie „Nil Desperandum" którego śp. Reymont był prezesem. Zebrało się grono osób; Reymont czytał wyjątki z rewelacji medjalnych. Przejęty zamieszczonym w rewelacjach opisem śmierci Ochorowicza, powiedział: „Wiem i czuję że tam jest pełne życie".

...I wierzę że tam, w światach do których odszedł mocnem życiem żyje Jego wysoki duch.

WŁADYSŁAW STANISŁAW REYMONT

Fragment z powieści „Chłopi"

...Drugie kury już piały, noc była późna, pola pogrążone w głęboki sen odpoczywania, jakby dychały niekiej cichuśkim chrzęstem i jakiemś echem dziennych zabiegów i trosk — jak dycha mać, kiej przylegnie wpośród dzieciątek, dufnie śpiących na jej łonie...

Boryna naraz przykląknął na zagonie i jął w nastawioną koszulę nabierać ziemi, niby z tego wora zboże naszykowane do siewu, aż nagarnąwszy tyla, iż się ledwie podźwignął, przeżegnał się, spróbował rozmachu i począł obsiewać...

Pochylił się pod ciężarem i zwolna krok za krokiem szedł i tym błogosławiącym, półkolistym rzutem posiewał ziemię na zagonach.

Łapa chodził za nim, a kiej ptak jaki spłoszony zerwał się z pod nóg, gonił przez chwilę i znowu powracał na służbę przy gospodarzu.

A Boryna, zapatrzony przed się. w cały ten urokliwy świat nocy zwiesnowej, szedł zagonami cicho niby widmo, błogosławiące każdej grudce ziemi, każdemu źdźbłu, i siał — siał wciąż, siał niestrudzenie.

Potykał się o skiby, plątał we wyrwach, niekiedy się nawet przewracał, jeno, że nic o tem nie wiedział i nic nie czuł, kromie tej potrzeby głuchej a nieprzepartej, by siać.

Szedł aż do krańca pól, a gdy mu ziemi zabrakło pod

ręką, nowej nabierał i siał, a gdy mu drogę zastąpiły kamionki a krze kolczaste, zawracał.

Odchodził daleko, że już ptasie głosy się urywały i kajś w mglistych mrokach zginęła cała wieś, a obejmowało płowe, nieprzejrzane morze pól, ginął w nich, kiej ptak zabłąkany, lub kiej dusza, odlatująca ze ziemie — i znowu się wyłaniał bliżej domów, w krąg ptasich świergotów powracał i w krąg zamilkłych na chwilę trudów człowieczych, jakby wynoszony znawrotem na krawędź żyjącego świata przez chrzęstliwą falę zbóż...

— Puszczaj, Kuba, brony a letko!—wołał niekiedy niby na parobka.

I tak przechodził czas, a on siał niezmordowanie, przystając jeno niekiedy, by odpocząć i kości rozciągnąć, i znowu się brał do tej płonnej pracy, do tego trudu na nic, do tych zbędnych zabiegów.

A potem, kiej już noc ździebko zmętniała, gwiazdy zbladły i kury zaczynały piać przed świtaniem, zwolniał w robocie, przystawał częściej i, zapomniawszy nabierać ziemi, pustą garścią siał — jakby już jeno siebie samego rozsiewał do ostatka na te praojcowe role, wszystkie dni przeżyte, wszystek żywot człowieczy, któren był wziął i teraz tym niwom świętym powracał i Bogu Przedwiecznemu...

Fragment z powieści: „Ziemia obiecana".

...Tysiące robotników, niby ciche, czarne roje, wypełzło nagle z bocznych uliczek, które wyglądały jak kanały pełne błota, z tych domów, co stały na krańcach miasta niby wielkie śmietniska—napełniło Piotrkowską szmerem kroków, brzękiem blaszanek, błyszczących w świetle latarń, stukiem suchym drewnianych podeszew trepów i gwarem jakimś sennym, oraz chlupotem błota pod nogami.

Zalewali całą ulicę, szli ze wszystkich stron, zapełniali trotuary, człapali środkiem ulicy, pełnej czarnych kałuż wody i błota. Jedni ustawiali się bezładnemi kupami przed bramami fabryk, drudzy, uszeregowani w długiego węża, znikali w bramach, jakby połykani zwolna przez buchające światłem wnętrza.

W ciemnych głębiach zaczęły buchać światła. Czarne, milczące czworoboki fabryk błyskały nagle setkami płomiennych okien i niby ognistemi ślepiami świeciły. Elektryczne słońca nagle zawisały w cieniach i skrzyły się w próżni.

Białe dymy zaczęły bić z kominów i rozwłóczyć się pomiędzy tym potężnym kamiennym lasem, co tysiącami kolumn

zdawał się podpierać i jakby chwiał się w drganiach światła elektrycznego.

Ulice opustoszały, gaszono latarnie, ostatnie świstawki przebrzmiały, cisza pełna chlupotu deszczu, coraz cichszych poświstywań wiatru, rozwłóczyła się po ulicy.

Otwierano szynki i piekarnie, a gdzie niegdzie, w jakiemś okienku na poddaszu, lub w suterynach, do których sączyło się uliczne błoto, błyskały światła.

Tylko w setkach fabryk wrzało życie wysilone, gorączkowe; głuchy łoskot maszyn drżał w powietrzu mglistem i obijał się o uszy Borowieckiego, który wciąż spacerował po ulicy i patrzył w okna fabryk, za któremi rysowały się czarne sylwetki robotników lub olbrzymie kontury maszyn.

Nie chciało mu się iść do roboty. Było mu dobrze tak chodzić i myśleć o tej przyszłej fabryce, urządzać ją, puszczać w ruch, pilnować. Tak się zatapiał w tem rozmarzeniu, że chwilami najwyraźniej słyszał około siebie i czuł tę przyszłą fabrykę. Widział stosy materjałów, widział kantor, kupujących, szalony ruch, jaki panował. Czuł jakąś wielką falę bogactw płynącą mu pod stopy.

Uśmiechał się bezwiednie, oczy mu wilgotnemi blaskami świeciły, na bladą, piękną twarz występowały rumieńce głębokiej radości. Pogładził nerwowo brodę mokrą od deszczu i oprzytomniał...

Redaktor FRANCISZEK BATUREWICZ Wydawca LEONARD ŻYCKI